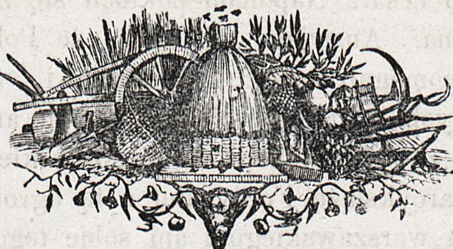
Tom XII. Nr. 14.

11. maja 1865.





Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Bitwa pod Raszynem.

Lat temu sześćdziesiąt będzie niezadługo, kiedy wielki wojownik i zwycięzca całego świata, cesarz francuzki, Napoleon I, odebrał Prusakom jedną część dawnej naszej Polski, którą jak to już wiecie podzieliły się pomiędzy sobą Austrja, Prusy i Moskwa — i z tego kawałka zrobił osobny kraik polski, co się zwał xięstwem Warszawskiem.

To xięstwo warszawskie miało być zapłatą dla Polaków za to, że wojacy polscy, co byli w legionach, pomagali po całym świecie Francuzom, i pod Napoleonem bili się walecznie z nadzieją w sercu, że ten cesarz francuzki z wdzięczności za to przywróci znowu całą wolną Polskę.

Ale licha to była zapłata! Za tyle krwi, co ją Polacy przelali za francuzkiego Napoleona, zrobił on tylko xięstwo warszawskie, a xięstwo to było tylko maleńką cząsteczką całej ziemi polskiej. Ale Polacy myśleli zawsze, że to tylko początek i że później Napoleon całą Polskę przywróci, ale gorzko się zawiedli. Zaś xięstwo warszawskie nawet samo ostać się spokojnie nie mogło, bo choć dużo wojska miało, to wojsko

to musiało iść het w świat za Napoleonem, a w kraju to ledwie garstka wojaków została na obronę.

Tymczasem cesarz Napoleon pokłócił się z Austrją i rozpoczęła się wojna. Austrjacy wiedzieli, że Polacy w xięztwie warszawskiem pomagali zawsze Napoleonowi, więc aby mu tę pomoc odjąć, wysłali 40.000 wojska z samym arcyksięciem Ferdynandem, aby zawojował xięstwo warszawskie.

Wyruszył arcyksiążę Ferdynand z tą ogromną siłą z Galicyi do xięstwa warszawskiego i ani sobie tego do głowy nie przypuszczał, aby się tam Polacy przeciw niemu bronili. Bo też i bronić się nie było czem wtedy; wszystkiego wojska w xięstwie warszawskiem było tylko 10 tysięcy — i cóż z taką siłą robić, kiedy Austryjacy mieli aż 4 razy tyle żołnierza!

Ale Polacy z dawien dawna aż do dzisiaj są bardzo waleczni i bitni, a gdzie chodzi o obronę kraju, tam się jeden nie ulęknie nie tylko czterech ale i dziesięciu nawet. To też choć polskiego wojska było w xięstwie warszawskiem cztery razy mniej niż Austrjaków, nie nastraszyło się ono przecież przemocy, jeno śmiało z bronią w ręku oczekiwało nieprzyjaciół. A dowodził wówczas wojskiem książę Józef Poniatowski, mąż prawy i dzielny, żołnierz waleczny, a tak kochany przez swoich żołnierzy, żeby i w ogień za nim rad każdy skoczył. Pod takim jenerałem i z szablą w ręku dali sobie święte słowo Polacy, że choć nieprzyjaciel cztery razy mocniejszy, prędzej zginą w bitwie a nie ustąpią z placu.

Tymczasem Austrjacy szli dalej ku Warszawie, i już byli pewni, że bez strzału zajmą całe xięstwo, kiedy pod Raszynem, o kilka mil pod Warszawą, zastąpiło im drogę 10.000 Polaków pod księciem Józefem.

A było to 18 kwietnia 1809 roku. Wojsko niemieckie śmiało się okrutnie, kiedy zobaczyło garść Polaków przed sobą, myśląc, że ich zgniecie jednym zamachem, ale inaczej się pokazało.

Wojsko polskie zastąpiwszy drogę Austryjakom, stanęło jak mur, a każdy żołnierz przysiągł sobie, że raczej zginie śmiercią walecznych niż ustąpi z pola. Koło godziny 3. uderzyły oba wojska na siebie. Miły Boże, strasznaż to była sprawa! Rozpo-

częła się bitka na śmierć lub życie, krew z obu stron płynęła jak woda, każdy polski wojak miał przed sobą aż czterech nieprzyjaciół, a przecież nie tracił odwagi, jeno bił się z całej mocy i każdy krok swój znaczył krwią nieprzyjacielskich żołnierzy Im ostrzej nacierają Austryjacy, tem zacięciej bronią się Polacy, i ani rusz rozbić ich nie można! I tak wojsko polskie, choć go cztery razy mniej było, dotrzymało austryjackim żołnierzom i oparło się na swojem miejscu, zadawszy wielkie straty nieprzyjacielowi. Bój trwał aż do wieczora, a Austryjacy w końcu zaprzestać musieli walki, nie mogąc żadnym a żadnym sposobem pokonać polskiego wojska. Sami też Austrjacy podziwiali męztwo polskich żołnierzy, co się tak dzielnie i walecznie oparli ich sile;

Cudów bo też prawdziwych dokazywali Polacy, a już to najbardziej pułk ósmy, którym dowodził waleczny pułkownik Godebski! Sam Godebski na czele swych żołnierzy bijąc się jak lew z Austrjakami, zginął z wielką sławą w tej bitwie, a imię jego na wieki żyje w pamięci ludzkiej! Naszych zginęło tam około 2000, ale każdy z tych zabitych nim sam poległ, pierwej kilku nieprzyjaciół trupem położył!

Już noc zapadła, a Polacy stali na swojem miejscu z honorem, nie ustąpiwszy ani kroku cztery razy mocniejszym Austrjakom.

Tak to się dzielnie popisało wojsko polskie pod xięciem Józefem w bitwie pod Raszynem. To też bitwa ta okryła wieczną sławą szablę polską i na wszystkie czasy będzie pamiątką, jak dzielnie i walecznie bili się, i jak chętnie umierali Polacy w obronie swej ziemi!

Brylantowe ptaszę.

Złote włosy mają kłosy,
A złocistsze ziarna,
Zkąd to wchodzi? taż to rodzi
Nasza ziemia czarna.

Ziemia błoto? nie to złoto
Brylantowe ptaszę.
Ach! rękami i sercami
Trzymajmy, wszak nasze!

U żydziska, za wódczyska,
Za lenistwa nasze
Marnujemy, sprzedajemy
Brylantowe ptaszę.

Przebóg, ojców ziemia święta,
Ta ziemia krzyżowa
Zbrodnie nasze zapamięta
W swem łonie zachowa.

*

A wdzień sądu, gdy śmierć cieniem
Jasny żywot zmroczy,
Ona niemi jak kamieniem
Ciśnie nam wprost w oczy.

Cóż z wolności bez własności,
Wszak ci my nie ptacy?
Jak podołam, tak w głos wołam:
Do pługa! do pracy!

Niech gorzałkę piją czarci
Bo oni jej warci,
A nam lepsza jako manna
Woda, by źródlanna.

Trzosa nam nie nadweręży,
Zdrowia nie zmitręży,
Ziemia będzie nas kochała,
Bogu będzie chwała!

Zdzisław.

Przygoda w karczmie,

czyli

Jak się Antoni przekonał, że dobrze jest umieć czytać.

Opowiedział Szczęsny z Żółkwi.

Gdy dojeżdżasz głównym traktem od Lwowa do Gorajowa, napotkasz najpierw karczmę murowaną z szeroką bramą do zajazdu. Wioska, która o jakie tysiąc kroków od karczmy się zaczyna i wzdłuż gościńca się ciągnie, niema ani porządnych zagród ani majętnych włościan. Cerkiew stara drewniana tak się pochyliła, że tylko gęste odwieczne lipy zasłaniają ją przed burzą od upadku. Dzwonnica o jednym rozbitym dzwonku, w który gdy dzwonią, to tak się cała kołysze i chwieje, jakby już tuj tuj upaść miała, a tak skrzypi, że trudno dzwonienia dosłyszeć. Plebania uboga słomą pokryta, na której już grzyby rosną, a ściany spruchniałe już do połowy w ziemię wlazły, a okna tuż przy samej ziemi. Jeden tylko prócz dwora jest porządny budynek na całą wieś, a nim jest szkoła z dylów dębowych w węgieł zbudowana, otynkowana, gontem pokryta, okna wysokie i szerokie, a obok komina pod daszkiem dzwonek co zwołuje dziatwę do nauki, a pod nim grubymi cyframi wypisany rok zbudowania 1861. Późno, jak widzicie, zabrano się tu do zbudowania tej szkoły, kiedy to gdzieindziej stanęły już nowe na miejscu starych. Zapyta kto, czyja w tem wina że tu tak późno szkoła powstała?

Ot! jak to zwykle bywa, komu się nie chce, temu nigdy nie czas! Bo to gromada nie zabrała się nigdy z ochotą do

zbudowania szkółki, a choć kiedy coś niby zaczęła, to wnet cały początek marnie wszedł i znowu czekaj, nim sobie kto szkołę przypomni.

Aż oto dopiero przed kilku laty, kiedy to na miejscu zmarłego starego dziekana, który to nie widział przez całe życie swoje, aby prócz niego i diaka jeszcze ktoś więcej umiał w cerkwi czytać na książce, przyszedł nowy, młody dziekan.

Ten zjechawszy do swojej gromady, gdy ujrzał że tu niema szkoły, nie troszczył się o starą plebanję, ale jak pochodził szczerze około składek i budowy, tak w pół roku stanęła szkoła, którą dziś widzicie, a dziatwa wiejska dziś już umie dobrze czytać i pisać i wiele innych pożytecznyeh rzeczy, a ojcowie błogosławią nietylko proboszczowi ale i wszystkim tym, którzy około oświaty ich dzieci staranie mają.

Największą przeszkodą w założeniu tej szkółki był terazniejszy arendarz karczmy, pan Antoni Gorzałkiewicz, choć katolik, ale zdzierca i hultaj na wielki kamień, nieprzyjaciel wszelkiej nauki i oświaty ludu, bo nauka sprzeciwiałaby się jego radom, jakie on dawał chłopom siedzącym po za stołami karczemnemi, a zresztą, gdyby ludzie się czegoś nauczyli, byliby przestali zapijać się w karczmie i Gorzałkiewicz miałby ztąd stratę.

Niedziw więc, że gospodarze, kiedy nie słyszeli nic lepszego, wierzyli w mądrość i prawdę arendarza i częstymi i gęstymi byli gośćmi w karczmie, a arendarz się panoszył, tymczasem majątki i dobre gospodarstwo tej wioski upadało, a wieśniacy przyszli już do wielkiego ubóstwa.

Antoni, że sam nie umiał ni czytać ni pisać, nie wiele się tem smucił, bo jak sam sobie pochlebiał miał głowę na karku do okpiwania głupich chłopów, to też sprzeciwiał się temu bardzo, kiedy chcieli szkołę na wsi zaprowadzić, bo wiedział dobrze, że jak się ich synowie czegoś nauczą, to i starzy cośkolwiek skorzystają i nie uda mu się potem tak łatwo okpić chłopa. Wtedy to, gdy gospodarze zeszli się w niedzielę po południu do karczmy, zasiedli długie stoły i nuż dalej każdy swoim rozumem dochodzić korzyści, jakie im szkoła przyniesie i jak to im ksiądz proboszcz dzisiaj po nabożeństwie rozpo-

wiadał, jak nie wystąpi Antoni ze swoją perorą przeciw szkole, począł jaki taki potakiwać za Antonim, a gdy jeszcze dla lepszego ugruntowania swojej prawdy rozkazał Antoni za darmo postawić garniec wódki na stole, to już za tymi co potakiwali poszła i reszta, bo wierzyli że Antoni ma większy rozum od nich, gdyż był za młodu i lokajczukiem i po dużych miastach wysługiwał się i o różnych się ludzi ocierał, i nie z jednego pieca chleb zjadał, więc też musiał więcej wiedzieć od nich rozumem.

Ale prawda zawsze wyjdzie na wierzch. Przyszła kreska i na Matyska, że nietylko Antoni chłopom nauki nie odradzał ale i sam na szkołę dał grosza nie mało, i syna swego do niej posyłał, a jak się to stało posłuchajcie.

Pewnego wieczora w późnej jesieni pusto było w karczmie Antoniego, boć to jutro wielkie święto a wszyscy pościągali się do swoich zagród.

Pod noc zerwał się wicher okropny i spędził nad Gorajowa tak czarne chmury, że się zciemniło że i oko wykól. Kiedy niekiedy rozdzierała błyskawica czarne chmury, piorun uderzał za piorunem a wtrząsał karczmą, że aż szyby w oknach drzały. Wiatr zakręcił rozrzuconą przed karczmą słomą i sianem djabelskiego tańca, deszcz co wisiał w chmurach, lunął jak z cebra. Pozamykano wszystkie bramy, a Antoni z Antoniową żegnali się za każdym uderzeniem pioruna, boć to człowiek co ma złe sumienie bardzo się lęka pioruna, i myśli, że tuj tuj spadnie z piorunem za grzechy jego pokaranie Boże.

Gdy się tak modlą i czekają, rychło się ta burza nadejmie, zatoczył się wózek po przed karczmę; — i silnie zakołatano do okna i bramy. Wysłał Antoni posługacza, żeby bramę otworzył. Zatoczył się wózek do karczmy, a do izby weszło dwóch zakonników zmokniętych do nitki. — Pochwalili Pana Boga i prosili z pokorną miną o nocleg, boć w takiej burzy nie mogą jechać dalej, a gdy raniuteńko wstaną, to jeszcze na czas przyjadą do pobliskiego miasteczka, gdzie jutro miał być wielki odpust. — Zaprzątnął się Antoni koło zakonników, bo dusza weń wlazła, myśląc, że dla tak świątobliwych ludzi zachowa Pan Bóg i karczmę od wszelkiego nieszczęścia, i postawił przed nimi na

stole kufel z piwem, a żonie rozkazał czemprędzej usmażyć jajecznicę, a że nie było więcej kogo obsługiwać w karczmie, przysiadł się do nich i nuż dalej rozpytywać się o rzeczach świętych, o odpustach i innych nowinach. Gdy sobie zakonnicy dobrze już podjedli i nagadali się z arendarzem do syta, spojrzeli na zegar, a że już było około północy podobywali z torb takie książki kapłańskie do modlitwy, co się zowią brewiarze, i zaczęli mruczyć niezrozumiałym dla Antoniego językiem swoje pacierze. Gdy się tak księża zakonnicy modlą, zapukał ktoś do okna i woła aby go wpuszczono. Antoni zabierał się już do spania i nie w smak mu było otwierać biednemu wędrownemu, boć nie spodziewał się od takiego wielkiego zarobku, co to w taką noc musi piechotą wędrować. A że ten pukać i prosić nie przestawał, zawołał wreszcie na Iwana, lecz tegoby się i drągiem nie dobudził, tak się zakopał na strychu w siano, i spał jak zabity. Antoni sam musiał pójść otworzyć. Wszedł do izby młody i rosły człowiek z zawiniątkiem na plecach a w ręku miał tęgi kij żelazny, a zmoknięty jakby z wody wylazł. Był to wędrowny czeladnik kowalski, który szedł szukać roboty. Obejrzał Antoni z pogardą biednego wędrownego, a że ten nie miał wiele pieniędzy i tylko wódki kieliszek wypił, to też Antoni nie kwapił się biednego czemś potraktować i wskazał mu ławkę w kącie, gdzieby mógł resztę nocy przespać. Zakonnicy zaś, gdy wszedł ów czeladnik do izby, opuścili brewiarze i coś ze sobą szeptali a nikt ich nie rozumiał, i ciągle oczyma wskazywali na owego wędrownego.

Czas był już Antoniemu udać się na spoczynek, jeszcze sprowadził rozmarzonego snem syna swego Walka, by ucałował ręki mnichom, a ci pobłogosławili go i dali mu pocałować obrazek w brewiarzu. Pocałował i Antoni i żona jego ów obrazek w brewiarzu, i udali się wszyscy troje do osobnej swej izdebki na spoczynek. Czeladnik ów wędrowny rozwinął na stole swoją tajstrę, wyjął kawał chleba i spożywając go, przysłuchiwał się pacierzom mnichów i wpatrywał się w ich brewiarze, a im się więcej wpatrywał, to coraz bardziej ci dwaj niby xięża nie w ład mu się wydawali, aż nareszcie kowalczyk nie mógł dłużej wytrzymać, jeno wściubił nareszcie nos prawie aż do książki.

Jak to zobaczyli ci dwaj zakonnicy, to tak jakby się czegoś przelękli — ale potem, złajali go ostro, że nie należy się przeszkadzać im w modlitwie. — Odsunął się czeladnik i nie dojadł chleba, zwinął tajstrę, przeniósł się na drugą stronę izby, położył tajstrę pod głowę, ale coś dziwnie popatrzył na zakonników i mruknął coś sam do siebie, a potem owinął rzemyk żelaznej swej laski około ręki i począł chrapać, jakby mocno spiący.

Gdy zakonnicy usłyszeli już chrapanie czeladnika a i z izdebki od Antoniego dochodziło ich przez nieprzemknięte drzwi silne chrapania, złożyli brewiarze znowu do torby a wyjęli ztamtąd dwa kawałki świecy, zapalili je, a jeden z nich wyszedł na palcach do sieni obaczyć, co się tam z końmi dzieje. Dosłyszał ów czaladnik lekkie skrzypnienie bramy, którą ktoś zwolna otwierał. Po chwili wrócił ów zakonnik z sieni i poczęła się między nimi cicha rozmowa, którą ów czeladnik dosłyszał a choć jej niezrozumiał toć przecież po tem wszystkiem co widział i słyszał, dorozumiał się, co się u nich święci.

Rozmowa ich była taka:

— Pierwej tamtych wyspowiadać, po tem tego, rzekł pierwszy.

— Nie, pierwej tego, potem tamtych, rzekł drugi.

— Gdy ten klęknie, tamci wstaną — rzekł pierwszy.

— Trudniej z trzema, łatwiej z jednym — rzekł drugi.

Po tej rozmowie poczęli obaj na palcach zbliżać się do drzwi Antoniego, w lewej ręce trzymali świece, a w prawej mieli ostre noże, które z cholew dobyli. Przeszli przez izbę, w której nie było nikogo — już poczęli zwolna odchylać drzwi do izby, gdzie spał Antoni z synem i z żoną, kiedy to ów czeladnik, który to udając spiącego wszystko widział, jak się nie zerwie z swej ławki, jak się nie rzuci na obu tych zakonników, jak nie chwyci jednego i drugiego za kaptury, jak nie uderzy ich głowami do kupy a nie krzyknie. Rozbójniki! gwałtu! na ratunek! kto żywy! Wszystko to stało się w jednym momencie, a tak sprytnie, że nim ci poprzebierani zakonnicy ochłonęli, już Antoni zerwał się na proste nogi a i Iwan stróż karczemny przybiegł na ratunek, zaś niebawem za nimi nazbiegała się cała karczma gospodarzy na zwołanie Antoniowej, lecz już tam ratunku nie było potrzeba, bo Antoni z Iwanem pomagając cze-

ladnikowi powalili obu zbójów na ziemię a na jednym siedział czeladnik na drugim Iwan, i trzymali ich dobrze.

Za pomocą chłopów powiązali sznurami obu i poukładali jak baranów na ziemi, a jeden z gospodarzy pojechał czem prędzej własnym ich wózkiem do poblizkiego miasteczka po żandarmów. Antoni podjąwszy noże pokazywał je chłopom, próbowali ostrza, a wymyślali tak tym zbójcom, że gdyby nie ów czeladnik, to pewnieby żywych w ręce żandarmów nie oddali. Gdy nieco wrzawa ucichła, począł ów czeladnik opowiadać chłopom i Antoniemu, jak to on z ciekawości zajrzał do ich brewiarzy, a że umiał czytać, zmiarkował od razu, żeć to nie są prawdziwi xięża zakonni, jeno poprzebierani hultaje, kiedy nawet czytać nie umieją, bo xiążki do góry nogami trzymają, a że on kiedy był jeszcze chłopcem i chodził do szkoły, posługiwał xiędzu i w domu i przy mszy, więc też sobie nie mało słów łacińskich spamiętał, a tu ci zakonnicy to takim jakimś językiem pacierze mruczeli, jakiego on nigdy w świecie nie słyszał. „Poznałem ci zaraz, co to za ptaszki i udawałem że spię, ale ciągle na nich uważałem. Lecz dziwi mię to, żeście pani arendarzu sami przedtem kręcili się koło tych drabów i do brewiarzy zaglądali i obrazki wnich całowali a nie poznaliście tego, że oni czytać nie umieją."

Antoni ze wstydu mało się pod ziemię nie zapadł, boć to niedawno dowodził chłopom, że to nauka czytania na nic a na nic się nie przyda, a tu właśnie swego nieuctwa o mało że z żoną i synem życiem nie przepłacił. Skruszony Antoni stał jak winowajca przed chłopami, którzy mówili:

— A co Panie Antoni, mówiliście że kto się nauczy czytać i pisać temu praca nie pachnie, a ot widzicie, ten co was wyratował, umie i czytać i pisać a jął się kowalstwa i pracą na chleb zarabia.

W tem nadjechali żandarmi, a gdy ujrzeli powiązanych rabusiów, uradowali się mocno, że już mają tych w ręku, za którymi tak długo szukali i tyle nocy po lasach za nimi chodzili, boć to oni już od dawna mordowali i rabowali w tych okolicach, i bardzo się ich ludzie bali, a nie można ich było złapać, bo się rozmaicie przebierali, teraz to nawet nie bali się ubrać na

rabunek w święte szaty kapłańskie. Wpakowali ich potem na ich własny wózek i zabrali ze sobą jak swoich.

Zaraz rano pojechał Antoni z żoną i synem do x proboszcza i dał na mszę za szczęśliwe uratowanie życia i sypnął hojnie grosza na szkółkę, którą właśnie x. proboszcz budować rozpoczął a w dodatku nakupił xiążek potrzebnych dla wszystkich dzieci i syna swego pierwszego zapisał do szkoły. Czeladnikowi zaś owemu, który właśnie szukał roboty, darował z wdzięczności tęgi kawał gruntu tuż obok samej karczmy i prócz tego ofiarował mu kilkadziesiąt reńskich na zakupno potrzebnych narzędzi kowalskich, a gromada zaś, za to że ich wybawił od tych zbójców, poszła z prośbą do Pana, a za jego pozwoleniem i pomocą zbudowali mu obok karczmy kuźnię i zrobili go kowalem gromadzkim, gdzie do dziś dnia kuje i dobrze mu się powodzi, boć to przy głównym trakcie dobry kowal nie zaginie. A i od rządu dostał za schwytanie tych zbójców wynagrodzenie. Dziś już posiada swoją własną dobrą chałupę i gruntów sobie wiele nakupił i ożenił się, a dziękuje Bogu, że się tak stało.

Widoczna kara Boża.

Jak mi najmilej, jaki piękny przykład, o którym się dowiem, wam moi kochani donosić, tak czasem przydarzy się taki jakiś osobliwy smutny przytrafunek, gdzie człowieka kara Boża w oka mgnieniu dosięgnie, o czem nie podobna zamilczeć.

Otóż taki jeden smutny wypadek, opowiem wam tu w krótkości.

Będzie temu może rok, jak dwóch sąsiadów z jednej wsi w krakowskim obwodzie za Wisłą, poszli sobie społem na jarmark do poblizkiego miasteczka. Jeden z nich był choć nie bardzo zamożny, ale uczciwy gospodarz, a drugi był ladaco, próżniak, patrzący na cudzy dobytek, bo mu się na siebie zapracować nie chciało. No i zaszli do miasteczka, jeden aby sprzedać jakąś tam chodobę, a drugi, aby co komu zwędzić. Ale jakoś na jarmarku nie udała mu się żadna gratka, choć za nią gonił. Tym-

czasem ten poczciwy gospodarz, sprzedał ten jakiś swój towar i wziął za niego 5 złr. w. a. Nie wielkać to suma, ale i na tę wzięła chętka niepoczciwego sąsiada.

Pojął więc na powrót uczciwego gospodarza, i po drodze zawezwał go do karczmy, gdzie go trochę podpoił, tymczasem też i noc zapadła, i wyszli już po ciemku z karczmy do domu.

Uszedłszy niedaleko w krzaki niegodziwy ladaco, kiedy dobroduszny gospodarz żadnej się zdrady nie lękał, to ten niecnota porwał okrutny kamień, i zawalił go w głowę, a gdy ten biedak upadł bez zmysłów na ziemię, to zbójca jakiś Bega się nie bojący, widząc że jeszcze żyje, dokłuł go do reszty nożem, wziął te 5 złr. w. a. i wrócił do domu.

Żadna zbrodnia nie zatai się przenigdy we świecie, tak też i ten zbójca został do razu schwytany, i zaprowadzony przed sąd, gdzie sam przyznał się, jakim okrutnym sposobem mordował swego sąsiada. Sami sędziowie wydziwić się nie mogli szkaradzie jego zbrodni, i nawet o tem było po gazetach rozpisane.

Oczywiście za taką zbrodnię, straszną został on na śmierć, na szubienicę, od najwyższego sądu skazany. Ale że kara śmierci nie może być na nikim wykonana, dopóki na to sam cesarz nie pozwoli i na to da swój podpis; więc też jego sprawa cala z papierami poszła do Wiednia, a tymczasem zamknęli go w kryminale w Krakowie.

Teraz słuchajcie moi kochani, co się z nim w kryminale dzieje? Zaraz począł tak schnąć, że się go suchoty chwyciły, i mówią doktorzy, że może i kary śmierci nie doczeka, i umrze, ale to jeszcze fraszka, lecz patrzcie jaki palec Boski jest nad nim, i kara za jego zbrodnię. Oto ręka prawa, ta sama którą mordował swego bliźniego, poczęła mu tak z dobra dziwnie gnić, i kawałkami ciało tak odlatywać, że jeno tylko sama kość została. Doktory przychodzą, leczą, wydziwić się nie mogą, ale nie pomogą żadne leki, bo gdzież człowiek może poradzić przeciw wszechmocy Bożej, i temu, kogo sam Pan Bóg karze!

Choć wiem, że między wami, moi ludkowie, co to czytać będziecie, nie ma żadnego zbrodniarza, ale przecie was proszę, abyście dzieciom waszym i wszystkim o tem rozpowiadali, aby

się jak to mówią, i dziesiąty karcił i bał się myśli zbrodniczej. Zostańcie z Panem Jezusem!

Ludka z Myślenic.

Jak wójt Bartłomiej radził sobie od ognia?

Nie ma to nic lepszego w gromadzie nad dobrego wójta! A takim dobrym wójtem był we wsi Mielcu Bartłomiej Łąka. Jak on nastał, to zaraz i we wsi inaczej nastało. Bartłomiej wyłapał złodziei, co konie kradli i poodstawiał do sądu. Naznaczył gromadzkiego polowego, żeby pastuchy szkody nie robili. Podczas nabożeństwa przykazał zamykać arendę i nikomu krzywdy robić nie dozwala. Za to go też znienawidzili źli ludzie, którym te porządki się nie spodobały, i złodzieje. A że nie mogli mu inaczej szkodzić, to go spalić zamyślili. Kilka razy podkładali ogień to w chacie, to w stajni, ale jakoś Pan Bóg go strzegł od nieszczęścia, bo zawsze ogień sam przygasał. Wtedy obgadali Bartłomieja złodzieje, że on czarownik, kiedy ogień chaty jego się nie ima. A kiedy raz blisko niego podpalili sąsiada Michała, a wiatr na Bartłomiejową strzechę iskry zanosił, Bartłomiej ani nawet rzeczy nie kazał wynosić z chaty, ale pobiegł z czeladzią ratować sąsiada, to już wtedy i po innych siołach roznieśli ludzie, że Bartłomiej czarownik. Kiedy przy pomocy Boskiej ogień u sąsiada ugasili, zostały ściany i ściel całe, a tylko dach zgorzał. Wtedy za staraniem Bartłomieja gromada złożyła się na Michała i zwiozła mu na podwórze krokwie i łaty, i słomę na pokrycie. Aż tu niedługo jakoś po pożarze wchodzi Michał do izby Bartłomieja i mówi:

— Bóg zapłać panie wójcie za wszystko, coście mi dobrego zrobili; z łaski waszej mam wszystko, ale jeszcze bym was o coś prosił. Powiadają ludzie, że wy umiecie ogień zamawiać; bądźcie łaskawi poradzić mi, jak to robić, a ja wam za to wynagrodzę.

Na to uśmiechnął się Bartłomiej i mówi:

— Kto by to jeszcze za poradę brał nagrodę. Poradzić i nauczyć kogo potrzeba, toż to obowiązek chrześciański. Ale cóż?

czy to ja jednemu już radził, a myślicie że posłuchał? Gdzież tam. Może i wy tak zrobicie, to i czasu szkoda.

A Michał na to:

— Ej mówcie sąsiedzie mówcie, pewniusienko usłucham waszej rady. Bo to widzicie, człeku ani spać, ani usiąść, ani chaty odstąpić nie można. Zawsze człowiek w trwodze, czy nie gore, a to za jednym razem przepadłoby wszystko, na co się całe życie gorzko pracowało, a chroń Boże i robaki mogłyby poginąć. Złodziejowi złego słowa nie można powiedzieć, bo zaraz ogniem grozi. Oj te ognie połowę życia mi odbierają mój sąsiedzie! — Dobrzeć jeszcze, że u mnie ratunek był wielki, i deszcz napełnił doły; inaczej byłoby wszystko zgorzało. Wy wiecie, jak to dziś trzeba płacić za materjał, cieślę i wszystko; gdzieby się człowiek był ściągnął na nową chatę; trzaby pójść w komorne. Czasem to złodzieje całe sioła wypalają — aby łatwiej kraść mogli w zamieszaniu. Oj powiedzcie, powiedzcie miły sąsiedzie, jak to zrobić, żeby ogień strzechy się nie czepiał.

— A posłuchacież wy mnie?

— Jak mi Bóg miły posłucham, chyba żeby to była rzecz bardzo kosztowna, albo nad moje siły.

Na to znowu wójt:

— Nic was to kosztować nie będzie, i będziecie mogli zasypiać spokojnie.

— O daj to Panie Boże!

— Słuchajcież, co wam powiem. Naprzód weźmiecie się do dachu, i musicie gęściej krokwie zaciągnąć. Jak na nich łaty poprzybijacie, każcie w podwórku wykopać dwa doły, po kolana głębokie, a na sążeń długie i szerokie. Potem każecie zwieźć kilka wozów gliny. Nasypcież po tem do tych dołów po trochę gliny, nalejcie na nią wody tyle, aby je można rzadko rozrobić, tak żeby się czerpać i przelewać dała. Jakeście ją tak rozkłócili, nabierzcie jej w bądź jakie naczynie, weźcie do rąk szczotkę do bielenia i maczając takową w glinie, wycierajcie nią krokwie i łaty wszystkie od góry aż do dołu i w około, a jak raz przyschnie, to smarujcie po raz drugi i tak dalej aż do czterych razów. Potem powrzucajcie do dołów tych z gliną snopki słomiane, które powinny być dość grube i obmoczcie je

tak, żeby ta juszka het na wskróś i do samego snopka każdego wsiąkła. Po tej kąpieli trzeba snopki powyciągać z gliny, żeby z nich juszka ociekła i poskładać na kupę. Jak się tych snopków spora kupa nazbiera, dopiero można niemi dach pokrywać kręcąc z tychże samych snopków powrósła, któremi się wiąże słoma do łat, uważając na to, żeby gęste było poszycie — żeby snopek do snopka dobrze przylegał. Snopków takich nie żałować i jeden do drugiego dobrze przyciskać; bo im twardsza robota, tem trwalsza będzie budowa. Otóż tak poszywajcie dach do samego wierzchu. Jak zabraknie wam w jednej jamie juszki, bierzcie się do drugiej, a tymczasem niech wam kto pomoże w pierwszej próżnej rozrobić glinę. Kiedyście strzechę już poszyli, wrzućcie znowu do jamy mierzwiastej słomy, wymoczcie ją dobrze i zróbcie z niej wierzch u góry dachu, jak się zwyczajnie robi. Żeby zaś ogień pod strzechą na strych się nie dostał, potrzeba wszystkie szpary i dziury takiemi snopkami dobrze pozatykać. Baczcie dobrze na to, żeby podczas roboty tylko po długiej drabinie na dach chodzić i zchodzić, bo inaczej dolna robota suchsza zepsułaby się. Wiedzieć jeszcze musicie, że podczas tej roboty powinniście się zasłonić fartuchem i rękawy zakasać — obierając do tego porę pogodną.

Michał z uwagą słuchał tej nauki, a po skończeniu jej rzecze:

— Co wy mi bajecie, ta tę glinę pierwszy lepszy deszcz spłucze.

A wójt na to:

— Kiedy bo nie spłucze, a choć i spłucze trochę z wierzchu, to wcale nic nie szkodzi.

— A potem, że to wielki ciężar będzie.

— Prawda, że będzie, dla tegoż ja wam radzę gęściej dawać krokwie; zamiast 5 par, dać 6, także i łaty o parę cali grubsze jak zwyczajne. I to tylko z początku będzie ciężar, ale jak wyschnie robota za parę niedziel, to i dach będzie lżejszy. Dla tego też właśnie nie trzeba glinę na gęsto, jeno na rzadko rozrabiać.

— Ale co robić z dużemi dachami na stodołach?

— A widzieliście wy moją stodołę? Na co mi stodoły — to nadto kosztowna rzecz dla kmiecia. Zrobić tok na podwórku

i jak pogoda, młócić na dworze. A w słotę, jeżeli koniecznie potrzeba ziarna, to mam na to szopę.

— A gdzież zboże składać?

— Tak jak na Podolu — w stogi i brogi, a tam chleba huk. W obcych krajach na żelaznych rusztach układają stogi. U nas można na palach stogi układać, tak aby pod spodem mogły koty chodzić i myszy łapać.

— A jak złodzieje podpalą?

— To trzeba porozrzucać stogi jeden od drugiego daleko i obsadzić gumno drzewami. A choćby się spalił stóg, nie spali się wieś, ani dobytek, ani jedna chata, jak będzie wszędzie tak, dach jak u mnie — przytem zawsze mniejsze niebezpieczeństwo i mniejsza szkoda.

— Ale moiściwy Bartłomieju, a my tego sposobu nie znali.

— A no widzicie. Ot, żeby was przekonać, że tak jest jak wam powiedziałem, to spróbujcie. Weźcie słomkę, namoczcie ją w takiej rozrobionej glinie, wysuszcie dobrze przy ogniu, a jak wyschnie, spróbujcie zapalić nad świecą; obaczycie czy się zajmie, zwęgli się, ale płomieniem nie zapali.

— To prawda! Widziałem nieraz, że w glinianym piecu palą, a kiedy piec rozbiorą, w nim słoma nieraz całuśka.

— Można jeszcze inaczej spróbować. Zróbcie sobie gdzie na polu, daleko od chaty, taki mały daszek; jak wyschnie spróbójcie go podpalić i obaczycie czy się zajmie.

— A na co! przekonałem się już na waszym dachu. No patrzajcie, a ludzie was za to zrobili czarownikiem.

— Widzicie sami, że to nie są żadne czary, tylko rozum.

— Ale jak to robić, kiedy to jeszcze u nas nie bywało?

— Ale dawniej i wozów kutych nie bywało, a teraz są; dawniej koniczyny nie siali, a teraz sieją; dawniej kartofli nie bywało, a teraz sadzą. Co dobre, to dobre, choćby jeszcze i nie bywało.

— Ale będą ludzie widziwiać!

— Mądrzy pochwalą; wreszcie rozumny nic sobie ze śmiechu głupich nie robi; tak, jak nie dba o to, że go tam psy na ulicy oszczekują.

— No już was posłucham, i skoro Pan Bóg da doczekać, zaraz jutro zabiorę się do poszywania dachu. Zdaje się, że będzie pogoda, bo kury już siadają i jaskółki wysoko latają. Bóg zapłać wam za naukę!

Niechże ta nauka posłuży wam kochani ludkowie! Jeżeli kto z was teraz — od czego Boże każdego zachowaj, pogorzeje, niech nie narzeka na niedolę, ale niech raczej lenistwu swojemu przypisze, że nie chciał usłuchać dobrej rady.

RÓŻNOŚCI.

Znalezione dukaty. Pewien biedny ale poczciwy szewc znalazł na drodze worek, w którym było 90 dukatów. Gdy wracał do domu, usłyszał w mieście, jako na rynku wybębniali, że jakiś kupiec zgubił 90 dukatów, a ktoby je znalazł i oddał, dostanie za to w nagrodę 10 dukatów. Poczciwy szewc idzie zaraz do kupca i oddaje mu znalezione pieniądze. Ale kupiec ów, człowiek bardzo chciwy, nie dał mu, jak obiecał 10 dukatów, jeno mówi:

— W worku było 100 dukatów, a ty mi oddajesz 90, więceś sobie już sam znaleźne odciągnął!

Na to mówi ów szewc poczciwy:

— Miły panie! Nie chodzi mi o tę zapłatę, ale markotno mi bardzo, że mnie posądzacie, iż sam pieniądze ruszyłem. Kiedy zaś tak mówicie, to chodźmy do sądu, aby moją niewinność osądził.

Idą więc obaj do sądu i spierają się okrutnie z sobą. Kupiec mówi, że zgubił 100 dukatów, szewc prawi że znalazł tylko 90. Nie było więc innej rady, jeno sąd musiał kazać obom przysięgać. Owoż kupiec przysiągł na swoje a szewc na swoje Wtedy sędziowie, którzy dobrze znali chciwość kupca a poczciwość biednego szewca, taki wyrok dali.

— Ponieważ obaj przysięgliście, więc wam obom wiarę dać trzeba Kiedy więc wy panie kupiec przysięgliście, żeście zgubili 100 dukatów, ów zaś ubogi człowiek przysiągł, że znalazł tylko 90 dukatów, więc ztąd jasno wychodzi że szewc znalazł inne a nie wasze pieniądze. Niech sobie więc te pieniądze zatrzyma, aż się znajdzie ten, co 90 dukatów zgubił, a wy panie kupcze czekajcie, póki kto się nie zgłosi, co wasze 100 dukatów znalazł.

I tak się też skończyło. Kupiec mało od zmysłów nie odszedł, i sam siebie przeklinał, że przez skąpstwo taką stratę poniósł. Ale ów poczciwy szewc zlitował się przecież nad nim i dobrowolnie oddał mu znalezione dukaty, a kupiec już wtedy nietylko, że mu 10 dukatów znaleźnego wypłacił, ale jeszcze jako swego dobrodzieja uściskał go i postanowił sobie mieć zawsze na pamięci tę naukę.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.